

Pamiętnik Słima Morano – 3

3 lipca 2020

W niewoli Atai. Kronika z lat 1987–2001

Zapytałem kiedyś Hermana: „Czym jest miłość?

Czyż jest ona tylko jakimś światłem,

jakąś energią?” Odpowiedział mi:

„Miłość jest niewidocznym cieniem,

jakim Najwyższy okrywa cały ten świat.

Gdyby On sam wyjrzał spoza tej

bariery nieskończoności, jaka Go od was oddziela,

ciemności natychmiast przestałyby istnieć,

tak jak zmrok ginie w promieniach

równikowego słońca.

Aby więc miłość móc przyjąć,

trzeba wyjąć głowę z piasku i stanąć w świetle.

Tylko wtedy istnieje szansa, że miłość nas nie oślepi;

i nie pograży na powrót w ciemnościach.”

W roku 1987 opuściłem Polskę i wyjechałem do Paryża – po tym, jak się okazało, że moja małżonka mnie od lat zdradza. I to z naszą... wspólną koleżanką. A przy okazji sąsiadką, mieszkającą zresztą o dwie klatki dalej. To był szok. Ale nie pierwszy i nie ostatni, jaki przeżyłem.

Znałem dość dobrze francuski i po pewnych początkowych trudnościach udało mi się dostać pracę jako dozór muzealny w Centrum Pompidou. Niby nic nadzwyczajnego, ale i tak miałem fart, bo raz, że posada była państwowa, dwa, że nie tak źle płatna, tak iż mogłem nawet regularnie wypłacać alimenty mojej eks, która mieszkała z córką (i „sąsiadką”) w Polsce, a trzy, że na biało. Swoje lokum miałem u pewnego studenta, który utrzymywał się głównie z pracy na czarno w firmie, zajmującej się organizacją wszelkiego rodzaju imprez (głównie w zakresie budowy dużych i małych estrad i oprawy technicznej) i który podnajmował mi mniejszy pokój w swoim dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią na trzecim piętrze, w okolicy stacji Sevres Babylone. O tyle było to istotne, że okolica ta była bardzo paryska i że nie musiałem dojeżdżać gdzieś z przedmieścia, jak większość moich kolegów z pracy. Miałem tylko jeden przystanek metrem do Odeon, potem cztery stacje czwórką do Les Halles i jeszcze może tych czterysta metrów na piechotę. W sumie potrzebowałem na to jakieś dwadzieścia pięć minut. Niestety w roku 1994 w muzeum dozór przejęła prywatna firma i po redukcjach personelu straciłem moją posadę. Wtedy dopomógł mi mój student, który co prawda już ze mną nie mieszkał (mieszkanie przejął od niego nowy lokator, który mi nadal podnajmował pokój), ale w tej swojej firmie miał od dwóch lat oficjalnie stałą posadę jako technik, i kiedy tylko potrzebowali rąk do pracy, zawsze mogłem liczyć, że da mi znać. Wcześniej, kiedy miał kłopoty, parę razy pożyczałem mu forszę, więc to był z jego strony taki gest. Niestety, kiedy zmiarkował, że pewna dziewczyna z obsługi cateringowej, bardzo ładna blondynka zresztą, ma na mnie oko, prawie z miejsca zerwał ze mną kontakt. Na szczęście – jak wówczas sądziłem – po pewnym czasie udało mi się dostać zajęcie jako kierowca w pewnym ogromnym banku z wieloma filiami na terenie Paryża. Zajmowałem się głównie przewozem pracowników i gości pomiędzy paroma z tych filii bądź też rozwozami kurierskimi w granicach aglomeracji miejskiej. Z kolei jednak – na moje nieszczęście – zadurzyłem się, i to na dobre. Na nieszczęście, bo moja piękna wybranka, z pochodzenia pół-Polka zresztą – którą w swoich

myślach nazwałem, nie wiedzieć czemu, Ataja, i w której zakochałem się od pierwszego (no, może od drugiego) wejrzenia – była trans. Podrywała mnie, nic nieznaczącego dla niej kierowcę busika, bo po pierwsze uważała to za zabawne, kiedy faceci na umór się w niej zadurzali, a po drugie, i to był dużo ważniejszy powód, była zazdrosna o inne kobiety, które zabiegały o moje, a nie o jej względy. Postanowiła sobie, że mnie wykończy. I udało jej się. Nie tylko że zrobiła ze mnie psychiczny wrak, ale w dodatku poskarżyła się na mnie do swojego szefa, że ją napastuję. Nie miało to nic wspólnego z prawdą, bo oświadczyłem jej tylko kiedyś, kiedy byliśmy sam na sam, że ją bardzo kocham, i chciałem jej wręczyć kolczyki z bursztynu; i to właściwie było wszystko. W konsekwencji jednak zostałem zwolniony. Najpierw usiłowałem się jeszcze jakoś bronić, ale Ataja, jak ją nazywałem, miała za sobą szefową potężnego działu papierów wartościowych, obrzydliwie grubaśną i nienawidzącą mnie szczerze za moją przystojność od pierwszej chwili lesbę, a w dodatku chłopak Atai – którego posiadała tylko na pokaz, ze względu na społeczną presję – był początkującym pracownikiem wydziału kadr. Więc ją oczywiście poparł. Dobrze wiedział, co jest grane, wiedział, że mi strasznie przyświnił, bo kiedy go potem ze trzy razy, jeszcze w czasie trwania tej całej afery, przelotnie spotykałem, odwracał wzrok i nie śmiał mi spojrzeć w oczy. Ale za te parę orgazmów na tydzień w objęciach tej swojej superamazonki gotów byłby do jeszcze dużo gorszych świństw. Nie tylko zresztą on. Dla tej kobiety, która musiała się malować, bo gdyby tego nie robiła, miałyby problemy na przykład z wejściem do kina na film dozwolony od osiemnastu lat, gdyż wyglądałaby wtedy na szesnaście, ale nie na te swoje dwadzieścia trzy lata, które już miała, otóż dla tej kobiety co drugi heteroseksualny mężczyzna byłby gotów niemal z miejsca otruć własną połówicę, a może i własne dzieci, byle by uzyskać jej „seksprzyzwolenie”. Była pod każdym względem piękna, piekielnie inteligentna i w dodatku potrafiła być tak ujmująco bezpośrednia i tak urocza, że nie było jak się przed nią obronić, kiedy postanowiła kogoś w sobie rozkochać. O mnie

mówiono co prawda jako o mężczyźnie to samo, co ja teraz o niej mówię jako o kobiecie, różnica polegała jednak na tym, że to ja ją kochałem moim naiwnym, otwartym sercem, ona zaś usiłowała mnie sobie tylko na zimno podporządkować, a najchętniej zdarłaby ze mnie skórę, żeby się stać choćby na jakiś czas mną i móc przeżyć erotyczną namiętność z jednym z tych swoich kobiecych obiektów pożądania. Wielu obcych facetów podrywała tylko zresztą dlatego, żeby wkupiwszy się w ich łóżkowe pielesze, chociaż w tak zwanym trójkącie bądź czworokącie – gdzie tym czwartym bywał jej własny chłopak – móc zaznać namiętności, której mężczyźni zaznawali w sposób naturalny z racji posiadania tego, czego jej tak dotkliwie brakowało.

Z czasem, wskutek utraty możliwości regularnego zarobkowania, wpadłem w długi. Nie tylko nie miałem czym się wypłacić, ale byłem też psychicznie na zupełnym dnie. Ja, który wiedziałem przecież, że Ataja tylko z wyglądu przypomina kobiecie nadbóstwo, ale tak naprawdę jest zaklętym w kobiecym ciele mężczyzną, ja, który to niby tak dobrze wiedziałem, mimo wszystko nie potrafiłem się od niej psychicznie uwolnić, ponieważ łudziłem się tą odrobiną nadziei, że może jednak się mylę i że może jednak okaże się, że ona jest hetero, i że ta cała jej gra to jest tylko jakaś psychiczna zemsta na mnie za to, że kiedyś, w czasie krótkiej wymiany zdań, zasugerowałem jej, że ona tak z każdym, a ja szukam kobiety, która tylko ze mną. Ale wtedy jej jeszcze nie znałem, nie wiedziałem jeszcze, jaka jest. Myślałem więc, że jest po prostu dziwka i nie widzi już żadnych granic przyzwoitości, i że usiłuje mnie usidlić, z zamiarem dołączenia mnie do kolekcji swoich męskich trofeów. Postanowiłem zatem jej wykazać, że granice mojej rezystencji leżą daleko poza obszarem jej wpływów. I że kogo jak kogo, ale mnie nie zwabi w sidła swojej nimfomanii. Ale ona mnie zaskoczyła. Kolejnego dnia przyszła całkowicie nieumalowana i wyglądała na piętnaście lat. Wyglądała jak święta i przez chwilę miałem wrażenie, że nad jej głową unosi się jasna aureola. Jej charyzmatyczne, pełne dziewiczości wejrzenie, jej

cudownie piękna i kształtna, promieniująca tą dziewczęcą niewinną odwagą Joanny D'Arc twarz, i ten jej tak bezpretensjonalnie kusząco i czysto zarazem wibrujący głos, to wszystko razem opadło na mnie jak jakaś porażająca prądem sieć. Byłem nią bez granic zafascynowany, ale jednocześnie stało się dla mnie jasne jak nigdy przedtem: to jeszcze dziecko! Któremu ja, jako ten stojący tak nisko w hierarchii społecznej, nie jestem w stanie nawet zapewnić dwupokojowego mieszkania, bo stać mnie jedynie na odnajmowanie pojedynczego pokoju. Spytałem więc tylko, czy nie ma starszej siostry, po czym szybko się pożegnałem, odwróciłem się do niej plecami i wyszedłem (to było takie pomieszczenie, gdzie ja dostarczałem pocztę, a ona czasami jako pracownik ją odbierała). Zdążyłem jeszcze jedynie usłyszeć, że jej siostra jest młodsza. A potem... miesiącami sobie wyrzucałem, że może gdybym wtedy jej nie uraził, może by i coś z tego było. Łudziłem się – mimo iż tak jednoznacznie na własnej skórze doświadczyłem, że kocha się w innych kobietach, w zwłaszcza w pewnej sympatycznej, mniej więcej dwudziestoośmioletniej blondynce, z którą mnie już zresztą na dobre zaczynało coś łączyć, zanim Ataja się pojawiła. A może właśnie dlatego się pojawiła, żeby mój związek z tą kobietą nie doszedł do skutku? Kobieta ta w każdym razie tak dalece przypadła Atai do gustu, że czekała na nią codziennie po pracy, żeby ją odprowadzać na przystanek, co drugi dzień bywała z nią razem w bankowej kantynie na obiedzie i przynajmniej raz w tygodniu wybierała się z nią na przejażdżkę busikiem (oczywiście zawsze pod jakimś oficjalnym pretekstem), którego byłem kierowcą. Była wtedy zawsze bardzo gadatliwa i wesoła i starała się wieść towarzyski prym, i przede wszystkim kontrolować sytuację, i mnie kontrolować, czy aby nie próbuję za jej plecami spotykać się z jej własną narzeczoną. Potem zrozumiałem, że to w jej a nie moich oczach, w oczach tej kobiety chciała pozostać niewinna, niejako nieskażona, bo z jakiegoś powodu tak bardzo przypadła ona jej do gustu. I że to z jej powodu się nie małowała. I że to z jej powodu mnie tak nachalnie – bez skrupowania, którego zresztą w stosunku do mężczyzn, o czym wtedy jeszcze tak na pewno nie

wiedziałem, zupełnie nie odczuwała – że to z jej powodu mnie tak kokietowała i podrywała, chcąc mnie od niej całą mocą swojej niezwyklej urody, swojego obezwładniającego, nimfopochodnego powabu i swoich niebiańsko uroczych uśmiechów odciągnąć. Potrzebowałem dużo czasu, żeby to zrozumieć. Wiele godzin spędziłem, wczuwając i wstawiając się w jej położenie. W jej położenie jako mężczyzny w niezwykle urodziwym ciele kobiety.

Nie miałem więc do niej o nic pretensji, bo bardzo ją kochałem i tak dobrze rozumiałem. I nie miałem ich nawet wtedy, gdy mi tak boleśnie przyświniła. Bo była tak piękna. I tak niewinna. Zwłaszcza zaś wtedy, kiedy przestała na jakiś czas używać makijażu... I jeszcze wtedy, kiedy jechaliśmy razem windą. Wtedy też była tak piękna. I nagle cała poczerwieniała i spytała, czy tu jest tak gorąco, a mnie się wtedy wydało – a było to jedno z najbardziej zadziwiających mistycznych przeżyć w moim życiu – że jakiś słup światła od góry nas ogarnął, że jakaś boska ręka nas zetknęła. Ten słup światła widziałem wyraźnie moim wewnętrznym wzrokiem, do dziś go jeszcze widzę. Ale ona go nie widziała, ona się tylko bała, żebym ja jej czegoś nie proponował. Bo każda heteroseksualna kobieta marzyła o tym, żebym ja jej cokolwiek proponował, i ona dobrze o tym wiedziała, więc tym bardziej się obawiała, że teraz, kiedy jesteśmy sam na sam, że mógłbym coś zrobić; i że wtedy może wyszłoby na jaw, że coś jest z nią nie tak. Ale ja nie zrobiłem. Nigdy bym tego nie zrobił bez jej jednoznacznego przyzwolenia. I pewnie nawet wtedy, w tej windzie, najpierw bym od niej zażądał, żeby mnie zapewniła o swojej dozgonnej miłości, zanim bym ją dotknął. Ale winda się zatrzymała; i jedno z nas musiało wysiąść.

Za karę – albo i nie za karę – wylądowałem więc w końcu przez nią na ulicy. I zanim znalazłem na przedmieściach tę swoją budkę kempingową, turlałem się spory czas po paryskim bruku. Nie miałem z czego żyć i tak naprawdę było mi już wszystko jedno, co się ze mną stanie. Ale kiedyś ktoś rzucił mi pod

nogi parę franków. I potem znowu. I w ten sposób jakoś przeżyłem. Fizycznie wprawdzie nie nadawałem się na żebraka, głównie z powodu dużej wrażliwości mojego ciała na warunki atmosferyczne, ale psychicznie bycie żebrakiem właściwie bardzo mi odpowiadało. Byłem względnie niezależny i – wolny. Z czasem nawet, jak wspominałem, udało mi się na paryskim przedmieściu za pół darmo wynająć pewną budkę kempingową z wyposażeniem sanitarnym. Było to dla mnie ważne, ponieważ musiałem się często myć. Nie żebym był takim czyścioszkiem, ale, po pierwsze, zacząłem wtedy chodzić do kościoła i się modlić, i im częściej to robiłem, tym było mi lepiej, tym mniej odczuwałem swoją niedolę i tym stawałem się psychicznie silniejszy; więc aby spotykani przeze mnie ludzie nie musieli sobie zatykać z mojego powodu nosa i z jakiegoś wewnętrznego, instynktownego szacunku dla tych miejsc, które odwiedzałem, starałem się być zawsze czysty. Po drugie zaś potrzebowałem kontaktu z wodą. Woda mnie ożywiała. Tak jakby była nasycona jakąś energią. Tylko że... czasami, szczególnie zimą, woda, którą dysponowałem, była za zimna. I kiedyś przesadziłem. Mimo że byłem już niby tak na zimno odporny, zwłaszcza zaś na zimną wodę – przesadziłem. Poczułem potworny ból, przechodzący od gardła do prawego ucha, i dostałem w nocy strasznej gorączki. Głowa mi pulsowała, nie miałem siły przełknąć własnej śliny i było mi tak gorąco, jakby mnie przypalało pustynne słońce w zenicie. Choć było to więc już przedproże paryskiej zimy, w nocy gdzieś może koło pięciu stopni, deszcz i wiatr, wyszedłem na zewnątrz i przytulałem się na leżąc do lodowatego, betonowego chodnika. W końcu postanowiłem poszukać pomocy i resztką sił wybrałem się w drogę. Ale zanim zdążyłem o jakąkolwiek pomoc się dla siebie zatroszczyć, tak bardzo opadłem z sił, a było już gdzieś po północy, że wszedłem w jakąś pierwszą otwartą bramę, przez nią w jakieś wąskie podwórko i zwałem się, gdzie stałem.

Obudziłem się w szpitalu. Leżałem w czterołożkowej salce. Kiedy tylko otworzyłem jedno oko, zobaczyłem przed sobą potężnego typa w „szpitalnej” piżamie, z długim, końskim

ogonem, pięcioma obrączkami w każdym uchu i ogromnym, czarnym tatuażem na odsłoniętej części potężnego, owłosionego torsu.

– Daj szluga – rzucił do mnie krótko swoim ochrypłym, przepitym głosem.

Wydobyłem z siebie jakiś dźwięk, przypominający nieudaną próbę odkaszlnięcia, i zaprzeczyłem niepozornym ruchem głowy. W odpowiedzi złapał mnie za gardło, tak że prawie nie mogłem oddychać, i wychrypiał ponownie:

– Nie masz dla mnie szluga? To źle. Bo mam kiepski humor. A wiesz dlaczego? – wypowiadając te słowa, przydusił mnie jeszcze mocniej, więc nawet gdybym mógł mówić, nie mógłbym mu odpowiedzieć. – Z twojego powodu. Miałem tu swoją przyjaciółkę, moją pielęgniareczkę. Ale od kiedy ty się tu pojawiłeś, pieści się z tobą jak z dzieckiem. Albo przestaniesz świrować i zostawisz ją w spokoju, albo ci ten twój pysk porżnę na kawałki.

A więc o to chodzi – pomyślałem. Znowu to samo. Albo narażałem się jakimś typom, bo ich dziewczyny zakochiwały się we mnie od pierwszego wejrzenia, albo jakimś gejom, kiedy odmawiałem im nawiązania bliższej znajomości. Ci pierwsi zwalczali mnie bezwzględnie od pierwszej chwili, ci drudzy chcieli się ze mną koniecznie zaprzyjaźnić, ale wszyscy oni zapominali, że ja także nie jestem winien tego, jaki jestem. Aby zadowolić tych pierwszych, musiałbym się chyba zapaść pod ziemię, i żeby usatysfakcjonować tych drugich, musiałbym jakimś cudem się rozmnożyć i zmienić moje, dane mi od urodzenia przez naturę, heteroseksualne predyspozycje. Specjalnie zapuściłem sobie długi zarost, w którym przypominałem kogoś w rodzaju Robinsona Crusoe – i to tylko po to, żeby ukryć w nim rysy swojej twarzy. I tym samym ukryć w niej moje nieszczęście, czyli moją niehumaniczną przystojność, przyciągającą do mnie jak magnes prawie wszystkie heteroseksualne kobiety i prawie wszystkich facetów homo. Bo inne sposoby zawodziły. Kiedy na przykład próbowałem trzymać tych poruszonych do głębi moją osobą od

siebie na dystans, ich życzliwość zamieniała się często w agresję albo wręcz nienawiść. I tym samym zachowywali się jak moi wrogowie: przestawali tolerować mnie w swojej obecności, intrygowali przeciwko mnie, udawali, że mnie w ogóle nie znają, okazywali mi często pogardę. Ja naprawdę kocham wszystkich ludzi, ale osobiście mogę (i chcę) mieć tylko jedną, wierną mi partnerkę, która poruszyłaby z wzajemnością moje serce i moje ciało. Czy mam do tego prawo? Nie wiem, ale niektórzy nienawidzili mnie tylko dlatego, że to nie ich wybrałem. Jakbym nie miał prawa wyboru. I prawa bycia sobą. Starąłem się zatem ukryć moją charyzmę i urodę, jak mogłem. Musiałem i tak już z jej powodu żyć o wiele bardziej samotnie niż inni i mieć się na baczności przed innymi kumplami po fachu w tym żebraczym stanie, bo byli oni bardzo zazdrośni o moje powodzenie u tej zbyt życzliwej dla mnie części klienteli i nie tolerowali mnie w swojej okolicy. Miałem właściwie tylko jednego kumpla, który, choć też był homo, to jednak, mimo że bardzo mnie polubił, na szczęście niczego ode mnie nie oczekiwał. Wiedział, że jestem hetero i to lojalnie akceptował. Czasem natomiast pomagaliśmy sobie bezinteresownie. Mięwał dorywczo pracę, więc mógł sobie pozwolić na skromne, ale nieco lepsze niż ja lokum, mianowicie na małą, drewnianą chatkę przy ogródkach działkowych, gdzie pozwalano mu oficjalnie nocować, bo pełnił jednocześnie rolę bezpłatnego dozorczy. Miał za to darmowy dostęp do prądu i wody. Parę razy się nawet u niego w ciepłej wodzie myłem. Ten mój kumpel to był też chyba jedyny człowiek, który nigdy o nic nie miał do mnie pretensji. Od większości innych natomiast trzymałem się z daleka. Nie chciałem nikomu odbierać jego szczęścia i każdemu ustępowałem z drogi. Ale trudno, żeby mnie ktoś obwiniał za to, że się ze mną pieściła jakaś pielęgniarka, podczas gdy ja byłem nieprzytomny lub przynajmniej do tego stopnia wyczerpany, że nie zdawałem sobie sprawy, co się wokół mnie dzieje.

Nagle zawrzało więc we mnie ze złości i zamiast się poddać i wykrztusić coś na swoje usprawiedliwienie, w gwałtownym

porywie, który go całkowicie zaskoczył, odepchnąłem go od siebie z takim impetem, że wylądował na następnym, pustym łóżku i aż na nim usiadł. Wkurzony tym nieoczekiwanym obrotem sprawy, porwał talerz, leżący na stoliku obok mojego łóżka, rozbił go na kawałki i zbliżył się z jednym z odłamków. Następnie złapał mnie ponownie za gardło, przysiadając na mnie, żebym nie mógł go znowu popchnąć, po czym przyłożył mi do twarzy ostry kant i powiedział:

– A teraz pokanceruję ci pysk, że cię ta kurwa, co cię urodziła, nie pozna.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła salowa. Była drobnej budowy, miała na sobie biały fartuch, a jej skóra była mocno opalona, co dobrze pasowało do bujnych, ciemnobrązowych włosów, ale śmiesznie kontrastowało z białą fartucha i dziecięcą niemal mimiką jej twarzy. Obydwaj spojrzeliśmy na nią odruchowo.

– Salowa o tej porze? – wymamrotał mój zaskoczony oprawca, tylko lekko popuszczając swój uścisk. A ona, ignorując jego pytanie, rzuciła krótko, ale zaskakująco przytomnie:

– Co jest grane?

– Ukradł mi pieniądze – wycedził z przesadnie udawaną nienawiścią.

– Puść go – powiedziała.

– To niech mi odda szmal.

– Liczę do trzech! – rzuciła rozkazująco.

– A licz sobie i do dwustu – odparł i przycisnął mnie za gardło tak mocno, że znowu zacząłem tracić oddech. Na to salowa, nic już nie mówiąc, podeszła szybko do mojego łóżka, dźgnęła go dwoma rozstawionymi palcami w oczy, a kiedy zaczął skowyczeć coś w rodzaju „Jezu, co ona mi robiła”, kręcąc się konwulsyjnie i trzymając się za oczy, podeszła do niego,

przewróciła go na łóżko, jakby był lekki jak puch, urwała kawałek powłoczki od kołdry, zwinęła w kłębek, wsadziła mu go w usta tak, żeby nie mógł krzyczeć, i dała mu do zrozumienia, że ma być grzeczny, jeżeli nie chce jeszcze więcej oberwać. Do mnie zaś rzekła, podszedłszy do mojego łóżka:

– Zbyt niebezpiecznie tu dla ciebie. Musisz się przenieść gdzie indziej.

– Niebezpiecznie? – wykrztusiłem z trudem, bo nadal brakowało mi powietrza.

– Tak, chcą cię wykończyć.

– Kto?

– Ludzie Owena.

Nie znałem żadnego Owena. I nie mogłem uwierzyć, żeby ten osiłek, który z zazdrości o względy jakiejś pielęgniarki chciał mnie udusić, mógł jednocześnie działać na zlecenie. To była po prostu bzdura. Chciałem przedstawić jej moje wątpliwości, ale ból w gardle oraz moje osłabienie i gorączka sprawiły, że dałem sobie spokój.

– Ludzie Owena? – powtórzyłem więc tylko cicho, po czym zamilkłem. Chciałem ją jeszcze zapytać, kim jest, że z wyglądu przypomina szesnastoletnią dziewczynę, a mimo to bez trudu powala z nóg ponad dwukrotnie od siebie cięższego typu, ale uprzedziła mnie sama, przedstawiając mi się i podając mi rękę:

– Klaudia.

– Andrzej Adamski – wychrypiałem. – Ale mówią do mnie...

– Slim.

Popatrzyłem na nią zdziwiony. Skąd ona to wiedziała?

– Jesteś znany, nie dziw się – odpowiedziała mi, lekko się uśmiechając. – Ale o tym potem... Na razie musimy się stąd

wynieść.

– Dokąd?

– Do ciebie.

– Do mnie?!

– Cii – położyła palec na ustach i wskazała dyskretnie w kierunku tego oprycha, dając mi do zrozumienia, że informacja ta nie powinna dotrzeć do jego uszu.

– A co z nim?... – wykrztusiłem szeptem, wskazując na niego wzrokiem.

– Do wesela się zagoi – odparła bez troski. – Ale teraz chodzi o ciebie. Jutro około południa postaramy się o twój oficjalny wypis.

– Postaramy? – wyszeptałem, nie wiedząc, dlaczego mówi w liczbie mnogiej.

– Tak, nie jestem sama. Masz jeszcze innych przyjaciół.

– Nic o tym nie wiem.

– Dowiesz się w swoim czasie. A teraz posłuchaj. Dziś na nocnej zmianie... – przybliżyła się do mnie i szeptała mi prawie do ucha. – Od pewnego czasu pracuje tu nowa pielęgniarka, o którą właśnie ten... typ był zazdrosny. Taka blondynka. Ponoć piękna dziewczyna. Ale ty już ją znasz. Poznałeś ją wcześniej, ale potem ona miała wypadek i... całkiem się zmieniła. Mam na myśli... od środka. Przedstawi się jako siostra Liza. I podkuruje cię do jutra na tyle, żeby cię wypisali.

– A co z nim? – wskazałem ponownie ruchem głowy na osiłka.

– Nie martw się.

Klaudia wstała, podeszła do niego, zrobiła obiema rękami jakiś gwałtowny ruch w końcu jego łóżka, co musiało być dla niego

niezbyt przyjemne, bo jęknął głośno i głucho, mimo knebla wetkniętego w usta. Potem wyjęła mu knebel i ściskając go za dolną szczękę powiedziała:

– Słuchaj, palancie. Powiesz pielęgniarce, że się przewróciłeś i sobie skręciłeś nogę. Jeżeli komuś piśniesz słówko, że tu byłam albo że on – pokazała na mnie – ma z tym coś wspólnego, to... powyrywam ci te twoje śmierdzące jaja. Kapnałeś?

Ponieważ nie zareagował, przymusiła go do odpowiedzi, jeszcze mocniej ściskając go za szczękę. Krótco jęknął i wydobył w końcu z siebie niewyraźne choć jednoznaczne „kapnałem”, ale Klaudia mimo to wyjęła coś w rodzaju małego ostrza i, o ile mogłem to dobrze z odległości paru metrów ocenić, nacięła mu język.

– Chcesz zachować ten swój plugawy ozór?

Znowu jęknął potakująco.

– Straciłeś mowę?

– Nie – wybąkał niewyraźnie.

– To odpowiadaj pełnym zdaniem. Zrozumiałeś, że masz trzymać gębę na kłódkę?

– Tak, z... zumiałem.

– Dlaczego?

– Bo język...

– Nie język, tylko ozór ci wytnę. I co jeszcze?

– I...

– Co...!? – znowu docisnęła mu szczękę uściskiem swojej małej, ale jakby metalicznej dłoni.

– Bo jaja... – znowu urwał, chyba samemu nie wiedząc, czy bardziej boi się, żeby nie zostać przez nią jeszcze dotkliwiej pobitym czy też żeby nie zostać jeszcze dotkliwiej obnażonym ze swojej próżniaczej pseudomęskości.

– Co jaja?

– No...

W tym momencie ktoś nacisnął klamkę drzwi wejściowych. Klaudia, niczym kot, błyskawicznie i bezgłośnie wśliznęła się pod łóżko. Do pokoju weszła, sądząc po wyglądzie, ta nowa siostra, o której mówiła Klaudia. Była tak piękna, że naprawdę zapierało dech.

– Dobry wieczór, siostra Liza – wyciągnęła do mnie rękę. I w tym momencie rozpoznałem w niej... Ataję. Klaudia miała więc rację. Ale co Ataja, urzędniczka bankowa (z widokami na szybką karierę!) tu teraz robiła? Czyżby z jakiegoś trudnego do wyobrażenia powodu przekwalifikowała się na pielęgniarkę?

– Adamski – wychrypiałem niewyraźnie i do tego całkiem speszony.

– Już kiedyś się poznaliśmy – powiedziała cicho. – Ale to całkiem inna historia. Dobrze się czujesz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Klaudia stała już przy naszym łóżku.

– Musisz go jeszcze ścisnąć za jaja – powiedziała do siostry Lizy czyli do Atai, wskazując na osiłka. – Po pierwsze, żeby znowu nie dostał orgazmu na twój widok, a po drugie, żeby się przed nikim nie wygadał.

– Zrobi się – odpowiedziała siostra Liza, tak jakby to była mowa o zmianie opatrunku.

– Ma lekko uszkodzone gałki oczne, nadcięty język i skrzywoną prawą nogę w kostce.

– Rozumiem. Może mu jeszcze coś połamać? – szepnęła wręcz z urokiem.

– Jak uważasz. Ja zmykam.

– Cześć.

– Trzymaj się, Slim – zwróciła się do mnie Klaudia. – Zobaczymy się jutro.

– Trochę ostra jesteś – wymknęło mi się samo z siebie, zanim odeszła jeszcze od mojego łóżka.

– Masz na myśli jego? – spytała.

Kiwnąłem potakująco głową.

– Słyszałeś kiedyś słowo „moralność”? – zawyrokowała retorycznie.

Retorycznie więc przytaknąłem.

– I wiesz, co ono oznacza, prawda?... On nie. On nigdy nie zdał sobie sprawy, co to słowo w ogóle oznacza. Taka karma. Zadane mu przeze mnie cierpienia są dla niego najlepszą nauką.

– Aha – skwitowałem nieco zbity z tropu. – Taka powtórka z moralności... Ale mimo wszystko, to robi wrażenie. Taka... dziewczynka.

– Tylko tu jestem dziewczynką, Slim. Gdzie indziej... jest trochę inaczej.

– Chcesz przez to powiedzieć – wtrąciła się, zwracając się do mnie Ataja – że ona wygląda na młodszą ode mnie?

– A co, zazdrosna jesteś? – spytała, wyręczając mnie, Klaudia i uśmiechnęła się z takim urokiem, że Ataja rzeczywiście mogłaby być zazdrosna.

– Nie o to chodzi. Ale na te swoje dwadzieścia parę lat to

chyba jednak wyglądasz – zripostowała Ataja. – Więc chyba Slim trochę przesadza.

– Przesadzasz, Slim? – zagadnęła zalotnie Klaudia, przebijając znowu Ataję na skali czarowności uśmiechania się. Przy tym jednak, trzeba to powiedzieć, jej uśmiech był tak piękny, tak boski, że jego ewentualny erotyczny podtekst usuwał się na niewidocznie daleki plan. To samo zresztą dotyczyło „siostry Lizy” czyli Atai. Jej uśmiechy były boskie, a przez to w jakimś sensie nie tylko teatralnie niewinne. Miałem zresztą w ogóle wrażenie, że one obie promieniają jakoś inaczej, mają jakąś inną aurę, i że – z jakiegoś niewiadomego powodu – są mi serdecznie oddane. Było to trochę tak, jakby za darmo oddawały się mi do dyspozycji, wiedząc, że ten ich pełen niewinności urok nie tylko pozostanie przy mnie nietknięty, ale że się nawet w mojej obecności zintensyfikuje; tak jakbym był dla niego jakimś niewidocznym katalizatorem.

Nie odpowiedziałem więc Klaudii na pytanie, lecz zamiast tego po raz pierwszy od dawna roześmiałem się prawie, spontanicznie reagując na te ich dobre prądy. Przyprawiło mnie to zresztą o spory atak nieprzyjemnego kaszlu.

Kiedy Klaudia jeszcze raz się pożegnała i wyszła, Ataja znowu się uśmiechnęła i powiedziała:

– Potem ci to wszystko wytłumaczę. Wiem, że masz wiele pytań, ale teraz jest najważniejsze, żebyś stąd jak najszybciej wyszedł. Na razie powiem więc tylko, że jesteśmy kimś w rodzaju twojej osobistej ochrony.

– Mojej ochrony?

– Tak, Slim. Jak by ci to wytłumaczyć?... Jesteś nośnikiem energii. Ziemia wchodzi w zakres nowego uniwersum, a ty jesteś strażnikiem tego procesu. Jego współtwórcą na tym poziomie rzeczywistości. Słowem – bez ciebie ani rusz. Nie mogliśmy wcześniej ci pomóc, bo przejście nie było jeszcze gotowe. Przejście między... naszymi rzeczywistościami. Od paru dni mamy

do dyspozycji ten kanał. Już nie jesteś sam. To znaczy... nigdy nie byłeś sam. Ale teraz jesteśmy przy tobie... fizycznie obecni. Ryzyko było za duże, żeby... cię zostawić własnemu losowi. Ale wraz z nami... przez ten nowy kanał... mają do ciebie dostęp międzygalaktyczne bandy różnego pochodzenia. I to się tak objawia, że oni tobie, te bandy, te negatywne siły, które są tobą zainteresowane, posyłają ci niechcianych gości, jak ten tu... – kiwnęła głową w stronę osiłka, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

– Palant – odpowiedziałem, posługując się powiedzeniem Klaudii.

– Palant – powtórzyła bez emocji, jakby w ogóle nie wyczuwając negatywnego znaczenia tego słowa. – Te siły rzucają ci więc niejako kłody pod nogi. Bo wiedzą, że... Że pomagasz przejść Ziemi na wyższe piętro. I boją się, że nie przejdą wraz z nią. Że, by tak powiedzieć, odpadną od tego drzewa jak nikomu niepotrzebne pasożyty. Bo oni... boją się przejrzeć. Boją się światła. Są więc jak pasożyty, jak grzybowate narośla, które tylko w ciemności mogą się rozwijać. A na Ziemi... panują jeszcze ciemności. Dlatego jest tu ich tak dużo. I dlatego jest tak trudno tu przejść. I tu żyć.

– Trochę to skomplikowane.

– To nie jest skomplikowane, tylko ja widzę to z innej perspektywy, z innego wymiaru. Ale w tym wyższym wymiarze to ty jesteś władcą. I to ta część ciebie, której ty nie jesteś obecnie świadomy, zaaranżowała to wszystko. Można by powiedzieć – twoje wyższe ja. I to twoje wyższe ja, ty sam wyższowymiarowy posłałeś mnie do siebie w dół. Ale ja i Klaudia, i paru jeszcze innych przyjaciół, jesteśmy tylko, nazwijmy to, żołnierzami w twoim królestwie. Jesteśmy twoimi żołnierzami, których sam do siebie posłałeś, aby ocalić porta tempora, jak to nazywamy, czyli przejście w inny wymiar, także do twojego własnego... kraju rodzinnego. Ten twój kraj, ta twoja ojczyzna z innego wymiaru, to jest tak zwane trzynaste

królestwo. Królestwo, o którym pozostałe dwanaście królestw zapomniało. I kiedy wyczerpały już one swoje siły, swoje kosmiczne akumulatory, kiedy poddały się negacji, wtedy właśnie ty albo raczej twoje królestwo obudziło się z długiego snu i przenikło za pozwoleniem Najwyższego do wielu wersji ziemskich rzeczywistości, czyli inaczej mówiąc, do wielu okresów historycznych, do wielu epok. Przenikło pod różnymi postaciami, na przykład w postaci różnych wersji ciebie samego i... I nas oczywiście, twoich innowymiarowych współziomków. Mówią o tobie trzynasty apostoł. Mówią o tobie Slim Morano. Jesteś dla nas, w swoim królestwie, naszym ukochanym nauczycielem. Bo wchodzisz w inne światy i walczysz. Walczysz... światłem. I przez to kreujesz te światy na nowo, pociągasz je do zmiany kierunku rozwoju. Jesteś więc jednym z kreatorów. Ale nie mogłeś do tej pory zdać sobie z tego wszystkiego sprawy, żyjąc w tej rzeczywistości. Bo obecny biologiczny poziom rozwoju ludzi na Ziemi nie daje ci jeszcze takich możliwości. Twój mózg, czyli twój biologiczny odbiornik informacyjny, to taki prymitywny jeszcze serwer, który nie ogarnia twojej własnej wielowymiarowości i tym bardziej wielowymiarowości połączonej z nią sieci. Ale to był twój własny wybór. Na wzór Najwyższego stałeś się mały, aby innym pomóc stać się większymi. Innymi słowy, opuściłeś się w tę rzeczywistość, aby z punktu widzenia rozwoju biologicznego ludzi żyjących w tym czasie, dokonać skoku w ewolucji. Ponieważ udało ci się poszerzyć swoją świadomość do odpowiedniego zakresu, umożliwiłeś nam, a właściwie sobie samemu, przybycie ci z pomocą. Otworzyłeś nowy kanał. Ale oni, ci żyjący w ciemności, wcale nie śpią, jak się domyślasz. I ponieważ boją się tego skoku w ewolucji – jako pasożyty boją się odpaść od drzewa i stanąć na własnych nogach – przeszkadzają ci jak mogą, zakłócają ci twój kanał. Ten tam – Ataja wskazała na osiłka – to też jest takie zakłócenie.

– Yhym, fajnie – podsumowałem mocno już zmęczony wsłuchiwaniami się w ten przydługi, filozoficzny wywód. – I co dalej?

– Muszę go trochę opatrzyć – Ataja znowu wskazała na mojego sąsiada spod okna, który teraz leżał jak trusia. – Musimy mu założyć gips na nogę, żeby się nie mógł swobodnie poruszać. I muszę mu jeszcze... coś wytłumaczyć. A dla ciebie mam taką tabletkę... ziołową. Od nas. Będziesz się po niej jutro dużo lepiej czuł. Nabierzesz sił. I lepiej ci się będzie spało. Chodź, pomogę ci zażyć.

– A jeżeli wy chcecie mnie otruć? I jeżeli to wy sami jesteście... – nie mogłem skończyć, bo znowu dostałem nieznośnego ataku kaszlu. Ale Ataja oczywiście wiedziała, o co mi chodzi.

– Masz rację. To my możemy być tymi złymi. Ale ja... znam tajemnice twojego serca. Czy myślisz, że ci źli też ją znają?

– Na przykład? – powiedziałem.

– Pytaj, o co chcesz.

– Przedstawiłaś mi się jako siostra Liza. Ale ja nazywam cię w myślach inaczej. Już wtedy cię tak nazywałem, kiedy byłaś jeszcze inna. Wiesz jak?

– Jak mnie nazywałeś? Wiem. I nawet wiem, co do mnie powiedziałaś, kiedy byliśmy po raz pierwszy przez chwilę sam na sam.

Spojrzałem na nią pytająco, bo trudno by mi było teraz nawet sobie samemu to przypomnieć.

– Powiedziałaś do mnie, po tym, jak mi zareklamowałaś ten nowy film, który wszedł właśnie na ekrany: „Szukam tak wspaniałej kobiety jak pani. Czy poszłaby pani ze mną na ten film do kina?” A ja odpowiedziałam: „Nie wiem, co powie na to mój chłopak.” A ty udałaś, że nic nie wiesz o tym, jakobym miała chłopaka, i powiedziałaś: „Ma pani narzeczonego? To niech pani idzie z nim.” A ja na to: „Ale przecież możemy spotkać się tak...” Miałam na myśli w kawiarni. A ty do mnie: „Ja nie szukam

takiej kobiety, która..." I wtedy do busika wszedł nowy pasażer i nie mogliśmy dalej rozmawiać.

– Nie chciałem cię urazić.

– Miałeś rację.

– To znaczy...

– Nie chodziło mi o ciebie.

– Tylko o nią?

– Tak.

Teraz wiedziałem już z całą pewnością, że to ona była tamtą dziewczyną z busika, jedną z moich tragicznie wielkich miłości. Jakże jednak musiała się zmienić, skoro tak otwarcie się przyznawała, że nie chodziło jej o mnie, tylko „o nią”, czyli o tamtą dwudziestoośmioletnią kobietę, która we mnie się kochała i o którą Ataja była wtedy tak zazdrosna, że chyba by mnie dla niej otruła. Spytałem więc:

– Otrułabyś mnie dla niej?

– Wtedy?... Wtedy może tak.

– A teraz?

– A teraz nie.

– Dlaczego? Nie jesteś już... – urwałem.

– „Lesbijką” chciałeś powiedzieć?

– Nie. Nigdy nie uważałem cię za lesbijkę. Chciałem powiedzieć „trans”.

– To to samo – skwitowała.

– I to się zmieniło? To się w ogóle może zmienić?

– W zasadzie nie może. Ale... ze mną to co innego. To bardzo długa historia. Kiedyś się jeszcze dowiesz.

– Kiedy?

– Jak stąd wyjdiesz. Będziemy mieli jeszcze czas.

– Czy ty mnie?... – zamierzałem powiedzieć „kochasz”, ale słowo to utkwiło mi w gardle. Ataja domyśliła się jednak.

– Slim, ja jestem teraz inna. Ja jestem tak jakby... „Święta” to jest właściwie zły wyraz. Stoję ponad tym. Mam do wykonania pewne zadanie, i to jest wszystko. Reszta się nie liczy.

– No tak. Ale ja właściwie nadal nie mam powodu, żeby ci ufać.

– To wymyśl coś. Musisz mi jakoś zaufać.

– Mam – powiedziałem. – Znasz moje myśli, tak?

– Niezupełnie. Ale wiem o tobie więcej, niż możesz przypuszczać.

– Jesteś podejrzanie tajemnicza... Mówiłaś, że wiesz, jak cię w myślach nazywałem. Ale ty jako tamta dziewczyna nie mogłaś tego wiedzieć. I mimo to wiesz jak?

– Tak, wiem.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Ataja – odpowiedziała.

To mi wystarczyło. Przeszedł mnie dreszcz do szpiku kości. To mógł wiedzieć tylko ktoś, kto miał dostęp do moich myśli. Siostra Liza była więc – nie tylko z wyglądu – tą samą dziewczyną, którą była Ataja, ale jednocześnie nią nie była. O moich obawach mogłem w każdym razie zapomnieć, choć tak szczerze mówiąc, gdyby Ataja zechciała się na mnie z jakiegoś powodu po paru latach zemścić i mnie otruć, byłoby to mi w moim położeniu prawie że na rękę.

– To jak ty się w końcu nazywasz? – spytałem, gdy tylko połknąłem tabletkę. – Siostra Liza czy siostra Ataja? Muszę przecież wiedzieć, jak mam się zwracać do moich własnych ochroniarzy.

Uśmiechnęła się.

– To zależy od ciebie. Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Ale póki jeszcze jesteśmy w szpitalu, mów do mnie siostra Liza.

– Okay, siostro.

– Śpij dobrze. Muszę na chwilę wyjść, ale zaraz wrócę do niego. Pewnie będziesz już spał.

Cicho wyszła z pokoju, a po paru minutach wróciła z powrotem. Słyszałem jeszcze niczym przez ścianę, jak do niego coś mówiła. Potem jęknął nagle z bólu, jakby go rzeczywiście ktoś ścisnął za... ym, ym. A potem już zasnąłem.

Następnego dnia, wbrew oczekiwaniom Atai i Klaudii, nie chciano mnie wypisać ze szpitala. Atai nie było – miała wczoraj nocną zmianę; a Klaudia, która przedstawiła się jako moja siostra, nie mogła jakoś przekonać personelu szpitalnego, że przychodzi mnie odebrać, gdyż – jak twierdziła – poinformowano ją wczoraj telefonicznie, że ma to uczynić. I choć rzeczywiście, jak się później przekonałem, w aktach figurowała jako moja siostra (Klaudia Adamski) i dysponowała dokumentami na to moje „ziemskie” nazwisko, nie mogła jakoś dyżurnego lekarza przekonać, żeby mnie wypuścił. Tłumaczyła mi to tak:

– Wychodziłam z założenia, że mi się uda. Gdyby nie ta francuska biurokracja... Jak ty się czujesz? Lepiej?

– Tak – odpowiedziałem i odkaszląłem. Tabletki Atai faktycznie postawiła mnie na nogi. W ciągu jednej nocy. Gorączka mi przeszła, gardło już nie bolało, miałem tylko jeszcze lekką chrypkę. – Co to była za tabletki?

– Jaka tabletkę?... Ach, ta, którą wczoraj od nas dostałeś? Inna technologia. Wpływa wprost na spektralno-energetyczną strukturę komórek i stymuluje natychmiastową poprawę.

– Aha – wyjąkałem głupio.

– Słuchaj, Slim – Klaudia przybliżyła się do mnie i mówiła ciszej, chociaż nikogo w pobliżu nie było. – Nie możesz tu zostać. Za jakąś godzinę rozwalą tę budę. Nie chcę cię straszyć, ale to nie przelewki. Mają na ciebie oko.

– Kto?

– Oni. Potem się dowiesz. Musisz się jakoś stąd zwinąć. Ten lekarz, który cię nie chce wypuścić, to może być ich człowiek. Moglibyśmy cię stąd wydostać siłą, ale nie chcemy na ciebie niepotrzebnie zwracać uwagi.

– Aha – przytaknąłem znowu, nie bardzo właściwie wiedząc, czy jeszcze coś mi się śni, czy jestem już na jawie.

– Niestety, nie możemy też użyć naszej techniki – tłumaczyła się dalej.

– Aha... Dlaczego właściwie nie? Możesz mi to trochę dogłębniej wyjaśnić?

– Spróbuję... „Technika”, którą my dysponujemy, nazwijmy to, jest niekompatybilna z tym odcinkiem rzeczywistości, w którym się znajdujesz. Tak samo jak niekompatybilna jest z nią wiedza magiczna, którą cywilizacje przedpotopowe władały w zakresie, jakiego wy sobie dzisiaj nawet w przybliżeniu nie potraficie wyobrazić. Niestety wojna tych dobrych z tymi złymi – którzy zresztą początkowo mieli jednego, wspólnego wroga w postaci potomków starego wężownika – zakończyła się wyzwoleniem tak potężnych dawek skumulowanej energii plazmowej, że zakłócona została sfera grawitacyjna całego Układu Słonecznego, a większość pralądów na planecie rozpadła się na mniejsze wysepki bądź zupełnie zniknęła z powierzchni ziemi. Ta wojna

trwała zresztą dziesiątki pokoleń, a będący jej efektem proces rozpadu cywilizacyjnego i geologicznej erupcji dziesiątki tysięcy lat. Dane te trzeba jednak zrelatywizować, bowiem czas biologicznej egzystencji ówczesnych istot ludzkich na planecie był mniej więcej dziesięciokrotnie dłuższy niż przeciętna długość trwania życia dzisiejszego wiejskiego mieszczucha ze „spokojnej” francuskiej prowincji. Bo... zostaliście po potopie przekodowani.

– To znaczy? – nalegałem, chcąc chyba usilnie się przebudzić.

– To znaczy, że Stwórca odebrał wam możliwość władania mocami, które kiedyś zostały wam jako gatunkowi ludzkiemu powierzone, gdyż doprowadziło to do umocnienia się władzy czarnych. Spowinowacili się oni bowiem z gatunkiem ludzkim i praktycznie odebrali potomkom Jedyne Prawa władzę na planecie, niejako wzięwszy całą ludzkość jako zakładników. Ten kidnaping zakończył się, jak wiesz, potopem, ale niestety czarni odrodzili się pod auspicjami cesarstwa rzymskiego na nowo. Wszystkie niemal przedrzymskie cywilizacje, które wyrastały jak grzyby po deszczu wszędzie tam, gdzie pojawiali się spadkobiercy przedpotopowych kultur, Rzym sobie podporządkował, przy okazji pozbawiając je jednocześnie ich prakorzeni, ich własnej, prastarej wiedzy na temat metafizyki procesów, rządzących waszą trójwymiarową rzeczywistością. Królowa się temu wówczas nie sprzeciwiała, ponieważ niektórzy próbowali nadal wykorzystywać tę prahistoryczną, przedkabalistyczną wiedzę magiczną niezgodnie z jej przeznaczeniem. Zostaliście więc wszyscy, cała ludzkość, z tej wiedzy ogołoceni, z waszych umiejętności posługiwania się magią. Rządy na planecie przejęli już w czasach przedpotopowych czarni, skorumpowawszy podstępnie całe życie publiczne i sprzeniewierzając się świętemu prawu miłości bliźniego, jakie jest podstawą wszelkiej, zainicjowanej w kosmosie przez Najwyższego Stwórcę hierarchii władzy. Cesarstwo rzymskie przejęło od tych niedobitków starych kultur przedpotopowych wprowadzić wiele z ich zdobyczy

cywilizacyjnych, ale potem całkowicie je wypaczyło, nie będąc w stanie pojąć ich pryncypiów i prakosmicznego rodowodu. Boskie prawa, które stworzyły kosmos, i kultury życia religijnego, zostały im udostępnione w wersji home premium i odcięte od swojego własnego źródła mocy, a język, którym się posługiwali, łacina, i cały łaciński alfabet można porównać do jednego jedyne cytatu z księgi przeznaczenia, zawierającej miliardy i miliardy miliardów stron. Jak więc chcesz pogodzić dostępne nam techniki z możliwościami, jakie macie na planecie? Umowa, zawarta na czas nowej ery, datującej się od potopu do czasów apokalipsy, umowa zawarta między dobrymi i złymi pod presją wysłańców Najwyższego, odbiera wam wszelką sposobność do posługiwania się wiedzą magiczną. Najwyższy nie pozwoli, żebyście wybudowali drugą Wieżę Babel – przynajmniej do czasu, kiedy mieszkańcy Ziemi nie będą stali na tak wysokim stopniu duchowego rozwoju, że stosowanie tej wiedzy, tych tajnych nauk metafizycznych, nie będzie stanowiło zagrożenia dla pokoju na planecie, w Słonecznym i w całej Drodze Mlecznej, i nie będzie skierowane przeciwko prawom, jakie są etyczną podstawą zachowania przy życiu i dalszego duchowego rozwoju kosmicznej rasy zwanej człowiekiem. Rozumiesz więc teraz, że gdybyśmy my użyli tej tajnej „techniki”, to i czarni mogliby użyć swojej, co byłoby sprzeczne z wolą Najwyższego i Królowej i czego by planeta w swoim trójwymiarowym wariacie kontinuum...

– Kontinuum?

– Tak, to znaczy na swoim obecnym etapie rozwoju cywilizacyjnego, w swoim trójwymiarowym wariacie rzeczywistości, w którym ty żyjesz. Planeta by tego nie wytrzymała.

– Nie wytrzymała?

– Tak. Zakłócona mogłaby zostać ta niewidoczna dla was jej struktura grawitacyjno-czasoprzestrzenna, czy też, upraszczając, po prostu jej energetyczny kościec, który kreuje

i harmonizuje waszą rzeczywistość albo, inaczej mówiąc, programuje ją i nią steruje. I uleglibyście rozpadowi, tak jak rozpadowi uległa Atlantyda i inne prahistoryczne krainy i cywilizacje, o których istnieniu nie macie dziś zbyt wiele pojęcia.

– Yhym...

Chwilę się zastanawiała, po czym wróciła do rzeczy:

– Słuchaj, Slim, mamy dwie możliwości. Albo wymkniesz się stąd niepostrzeżenie, albo... powiedzmy, w sposób widoczny dla wszystkich. Mamy mało czasu.

– A nie mogę tu naprawdę zostać chociażby jeszcze do jutra?

– Nie wierzysz mi? Nie wierzysz, że znajdujesz się w wielkim niebezpieczeństwie?

– Trudno mi w to uwierzyć, jeśli mam być szczery. A poza tym... A poza tym wielokrotnie znajdowałem się w moim życiu w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

– Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek znajdował się większym niebezpieczeństwie.

– Być może. Ale... poza tym nie mam zaufania do kobiet twojego typu.

– Mojego typu? – przerwała mi. – Co masz na myśli?

– Kobiety trans.

– Ja nie jestem trans.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś hetero?

– Nie, Slim. Myślisz jeszcze z nawyku zbyt ograniczonymi kategoriami...

– Zbyt „ziemskimi” chciałaś chyba powiedzieć?

– Może. Ale u nas wszyscy są, nazwijmy to, zespoleni.

– Zespoleni? Co to znaczy?

– Po prostu zintegrowani. Ty też się zintegrowałeś, tylko na razie o tym do końca nie wiesz, bo ten proces jeszcze w tobie trwa. Ale jako jednostka zintegrowana stałeś się w tym świecie niebezpieczny. Wyzwoliłeś się z ułudy cielesności, jak można by to nazwać.

– Masz na myśli mój stosunek do kobiet?

– Nie tylko. Ale to również. Nauczyłeś się kochać, nie pożądając. Wiemy, ile się przy tym nacierpiałeś. Niewielu jest takich na planecie...

– Wybacz, ale chyba mnie od tej strony jeszcze nie znasz...

– Znam. I to nie tylko ja, ale my wszyscy. Kiedy mówię „nie pożądając”, nie zarzucam ci, że jesteś eunuchem, mam tylko na myśli sposób, w jaki kochasz kobiety. Wielu ludzi ma swoje centra energetyczne na bardzo niskim poziomie, mężczyźni najczęściej na poziomie pierwszej, a kobiety na poziomie drugiej czakry. Każdy człowiek automatycznie szuka partnera, zdolnego do przeżywania miłości przynajmniej na porównywalnym poziomie jakościowym. A to oznacza w twoim wypadku lot na bardzo dużych wysokościach, co powiązane jest z ryzykiem, na które wiele kobiet podświadomie nie jest gotowych. Bo czują, że być może by tego napięcia na dłuższą metę nie wytrzymały. Nie bez znaczenia jest również fakt, że takie wysokie loty możliwe są tylko dla bardzo kochających się partnerów... I że czarni nie mogą sobie wyobrazić żadnego gorszego scenariusza, jak wyzwolenie się ludzi z tego przywiązania do zaspokajania swoich potrzeb miłosnych na niskich poziomach energetycznych...

– Znowu mówisz „czarni”? – przerwałem jej. – Kto to są „czarni”?

– Czarni to oni.

– To znaczy?

– Slim, mówię w sposób uproszczony. Na razie nie mogę ci tego inaczej wytłumaczyć. To nie jest takie proste. To nie jest tylko czarno-białe. Rozumiesz?

Uśmiechnęła się do mnie tak słodko i życzliwie, jakby była moją kochającą mnie ponad wszystko, dużo starszą siostrą. Trudno mi się było jej oprzeć, co stanowiło także dowód na to, że tak do końca z moich pożądań nie jestem jeszcze wyzwolony.

– Rozumiem, siostrzyczko – odparłem zatem z przekonaniem. – Masz taki miękki, aksamitny głos. Trudno ci nie ufać.

Westchnąłem głęboko.

– Co, zakochałeś się?

– A przyzwyczajona jesteś, że ludzie się w tobie zakochują? – odpowiedziałem pytaniem.

– Właściwie nie. Mam wgraną pamięć wielu wcieleń, ale tego nie mogę sobie przypomnieć.

– Masz wgraną pamięć?... Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś automatem?

– Nie to. Jestem tworem biologicznym. Ale też eksperymentem. Jestem jednorazowa... w tym wycinku rzeczywistości.

– A w innym? – zagadnąłem prawie załotnie.

– A w innym mam parę siostrzyczek – uśmiechnęła się znowu niezwykle uroczo.

– Genialnie się uśmiechasz.

– Żebyś się nie zakochał, mówię ci.

– Podobno jestem wyzwolony? Wyzwoleni też się zakochują?

– Nie wiem. Myślę, że tak. Ale inaczej.

Zastanowiłem się. A po chwili skwitowałem na zakończenie:

– Ja też tak myślę.

Plan Klaudii był prosty. Miałem się ubrać, na ubranie założyć długi szlafrok, jaki tu dostałem do swojej dyspozycji (gdyż własnego nie miałem) i po cichu się wyśliznąć w kierunku wyjścia, a następnie, już bez szlafroka, jak gdyby nigdy nic, udać się niby to na przechadzkę. Zaplanowane – zrobione. Gdyby nie ten typ, który palił papierosa w poczekalni dla matek z dziećmi, sąsiadującej zresztą z głównym wyjściem. Klaudia go poprosiła, żeby zgasił papierosa.

– Na twojej cipie? – wymknęło mu się nieopatrznie.

Nie minęło więcej jak pięć sekund i leżał na podłodze z tłącym się papierosem w nosie, prawą ręką złamaną w nadgarstku i swoimi własnymi, obciętymi jajami w gębie. Kiedy Klaudia poprosiła siostrę z recepcji o pomoc lekarską, okazało się, że jedną z czekających matek (w ciąży) była partnerka tego typu, który obecnie wykasływał z siebie krew po wyplutych, własnych organach rozrodczych, podczas gdy te nadal krwawiły obok niego bezwolnie na kamiennej posadzce, podobnie zresztą jak i rana, widoczna przez rozszarpane na strzępy na wysokości krocza spodnie i otoczona już sporą, czerwoną kałużą. Biedak ów nie wiedział jeszcze, co się z nim właściwie stało, ani ból, ani rozmiar jego własnych okaleczeń nie dotarły w tak krótkim czasie w pełni do jego świadomości, jego zaś partnerka, dużo młodsza z wyglądu kobieta, przyklęknąwszy obok niego bezradnie na jednym kolanie, spoglądała w osłupieniu to na mnie, to na Klaudię, to na jego spodnie, zupełnie nie wiedząc, co począć. Myślę, że do niej także jeszcze nie dotarło, że już nigdy nie będzie z nim mogła mieć dzieci z naturalnego poczęcia.

Kiedy chcieliśmy wyjść, jedna z matek czekających w poczekalni powiedziała do stojącej już przy nas pielęgniarki, wskazawszy na Klaudię:

– To ona go pobiła.

- Ona? – siostra spojrzała z niedowierzaniem na Klaudię.
- Tak – poświadczył ktoś inny.
- Wszyscy widzieliśmy – dorzucił jakiś starszy, grubawy mężczyzna z dużą głacą.
- W takim razie musi tu pani zostać – powiedziała siostra do Klaudii.
- Bardzo mi przykro, ale nie mogę – odparła Klaudia i obróciwszy się w kierunku drzwi wyjściowych, dała mi znak, żebym szedł za nią. Siostra jednak wybiegła za nami na korytarz i, kiedy już właśnie wychodziliśmy na zewnątrz, wezwała porządkowego, który rozmawiał właśnie w korytarzu z jakimś bodaj pielęgniarzem. Na swoje nieszczęście obaj zagrodzili Klaudii drogę, co zakończyłoby się dla nich nawet dosyć ulgowo, gdyby, mimo jej ostrzeżeń, nie zaczęli się stawiać. Przy czym trzeba obiektywnie dodać, że Klaudia dała im jeszcze jedną szansę.
- Macie do wyboru albo zejść mi z drogi, albo przez parę następnych tygodni chodzić w gipsie – oświadczyła spokojnie. Ale oni jakby jej nie uwierzyli.
- Tylko nie jaja – wtrąciłem po francusku w obawie, że i ta scenka może mieć krwawy przebieg.

Klaudia krótko na mnie spojrzała, a ten, który był ochroniarzem, spytał:

- Jakie jaja?
- Twoje – odpowiedziałem w imieniu Klaudii. I dodałem, żeby go odstraszyć: – Ona wyrywa facetom jaja, jeżeli są niegrzeczni.

Spojrzał krótko Klaudii w oczy i jakby w nich coś dostrzegłszy, może jakiś rodzaj determinacji, sięgnął szybko do pasa i wyciągnął pistolet. Klaudia obserwowała go spokojnie z wyrazem dość krytycznego współczucia na twarzy, on zaś

tymczasem, zrobiwszy mały krok do tyłu, odblokował i położył palec na cynglu, a następnie wymamrotał z zadowoleniem, że tak udało mu się ją zaskoczyć:

– Wariatów też tu obok mamy. Jestem z nimi obyty.

Klaudia spojrzała na niego ponownie z lekkim politowaniem, kiwnęła sceptycznie głową, jakby chciała powiedzieć „no trudno, nie ma innej rady”, wykopała mu z ręki błyskawicznym ruchem pistolet, po czym uderzyła go nogą w kolano, tak że padł jak długi, skowycząc z bólu. Jego kompanowi, który chciał podbiec po pistolet, w podobny sposób złamała nogę w kolanie, a leżącą na ziemi pukawkę podniosła, opróżniła magazynek, wysypując naboje, i oparłszy ją jednym końcem o ścianę, a drugim o podłogę, wygięła ją uderzeniem buta na tyle, że nie nadawała się już więcej do użytku; i podeszła do wijącego się z bólu ochroniarza.

– Jak nie umiesz się z tą zabawką obchodzić, to przeczytaj instrukcję obsługi, zanim jej następny raz użyjesz – poinstruowała go z anielskim spokojem. A do przyglądającej się tej scenie w osłupieniu pielęgniarki powiedziała:

– Ty idziesz z nami do wyjścia. Grzecznie przodem, jakby nigdy nic.

Wyjęła jeszcze ochroniarzowi zza pasa jego telefon, zgmiotła go, po czym popchnęła naszą „przewodniczkę” lekko do przodu i wytłumaczyła jej, że ma nas wyprowadzić bocznym wyjściem na parking. Potem pozwoliła jej powrócić, zaaplikowawszy jej krótkim psiknięciem małą porcję czegoś, co wyglądało jak jakiś malutki dezodorant. Już przedtem rozpylała z tej puszczonej parę razy w powietrzu jakąś niewidoczną substancję, a kiedy ją teraz zapytałem, co to jest, wyjaśniła mi krótko:

– Zacieracz śladów.

– Aha. I jak to działa?

Byliśmy już w samochodzie, który zostawiła na parkingu. Zapalała silnik.

– Jakby ci to powiedzieć? To zagina indywidualną czasoprzestrzeń. Działa na ciało astralne danej osoby lub danyh osób, które masz jakby mentalnie na celowniku, i wymazuje z ich pamięci pewien odcinek czasowego kontinuum, w którym żyją.

– Czyli cofa ich pamięć do momentu jakby przed tym, co się wydarzyło, tak?

– Tak. Tak to można w przybliżeniu określić.

– A na mnie? Działa też to na mnie?

– A co, chciałbyś coś zapomnieć?

– Nie, dlaczego. Tylko się pytam.

– W porządku, możesz pytać, ile chcesz. Ale pamiętaj, że nie wszystko da się tak szybko wytłumaczyć. Niektóre rzeczy musisz sam przeżyć, żeby je zrozumieć i uwierzyć.

– Dobrze, ale powiedz mi, czy to na mnie też działa.

– Mogłoby. Ale ten – nazywam go „tipex” – jest tak zaprogramowany, że na twoje spektrum astralne nie działa. Twoja pamięć jest bardzo ważna, nie możemy ci jej poszatковать.

– Moja pamięć? Dlaczego?

– Ze względu na pamiętnik.

– Pamiętnik?

– Tak, pamiętnik. Zrozumiesz to potem.

Po następnych trzech minutach rozmowy nie pytałem jej już o nic, ponieważ każde kolejne pytanie rodziło konieczność zadawania następnych pięciu, a te z kolei pociągały za sobą

odpowiedzi, których i tak do końca nie rozumiałem. W milczeniu więc, które Klaudia bardzo skutecznie witalizowała błędzącym po jej twarzy, ledwo widocznym, ale frapująco tajemniczym uśmieszkiem, jechaliśmy dalej – do mnie. Nie dziwiłem się już nawet, że gdzieś po kwadransie od zakończenia naszej rozmowy byliśmy na miejscu. Czyli szybciej niż taksówką. Ale cóż, może ich tam na Marsie i w tym zakresie odpowiednio przeszkolili.

U mnie przeżyłem kolejne zaskoczenie, kiedy w mojej budce zastaliśmy Ataję. Miała u mnie dyżur, jak to sama skomentowała. A poza tym gdzieś musiała się wyspać po nocy spędzonej pracowicie w szpitalu (była więc do tej pory bezdomna?). Choć bardzo by mnie ucieszyło, gdyby Ataja zechciała u mnie pomieszkiwać, to jednak nie wyobrażałem sobie, jak można by ten mój kawałek podłogi podzielić na dwa jeszcze mniejsze od niego. Zarówno Ataja, jak i Klaudia zdawały się mieć mi na ten temat coś do powiedzenia, bo po krótkim, porozumiewawczym spojrzeniu, postanowiły – jakby na usprawiedliwienie swojej obecności u mnie – coś mi wyjaśnić; i Klaudia oddała prawie niewidocznym gestem głos Atai, która następnie odezwała się w te słowa:

– Jak już wiesz, Slim, nie możemy cię zostawić samemu sobie. Szpital, w którym byłeś, wyleciałby w powietrze, gdybyś w nim został. Obecnie znajduje się tam właśnie miejska ekipa pogotowia gazowego, ponieważ cała piwnica śmierdzi ulatniającym się gazem. Gdybyś tam został, byłoby tam już tylko tłące się rumowisko. Uratowałyśmy więc nie tylko twoje życie, ale i życie wielu pacjentów i pracowników personelu.

– Aha, i dlatego Klaudia tak skopała tego typa? Bo palił papierosa?

– Tak – odpowiedziała Klaudia. – Ale nie tylko dlatego. Takich podpalaczy było tam więcej.

– To znaczy, że to był agent jakiegoś, nazwijmy to, wywiadu?

– I tak, i nie – odparła znowu Klaudia. – Oni wpływają na

ludzkie decyzje w ten sposób, że każdy może stać się w dowolnej chwili ich agentem. Do niedawna byłeś dla nich nie tak ważny. Ale od kiedy otworzyła się twoja górna, siódma czakra...

– Skąd ty to wiesz? – spytałem. – Przed paroma latami ktoś mi o tym powiedział. Ktoś też mówił, jakiś handlarz artykułami ezoterycznymi podczas festynu w Bois de Boulogne, że mam wielką białą aurę nad głową. Popukałem się na to po czole i sobie pomyślałem, że chce mi sprzedać jakiś kamyk albo amulet ze swojej kolekcji...

– My to widzimy – przerwała mi Klaudia. – Dla nas i dla niektórych istot z innych wymiarów ludzie są przede wszystkim tym, czym jest ich świetlne spektrum. Twoje spektrum zwraca na siebie uwagę, jest wyjątkowo bogate. Widać, że masz bezpośredni kontakt z praźródłem. Dlatego walczy o ciebie, o kontrolę nad tobą, wiele istot, dobrych i złych.

– Złych to znaczy czarnych?

– Tak. Choć czarni to uproszczenie. Oni nie są czarni w dosłownym znaczeniu. Ale są czarni, bo odcięli się od źródła, próbując się od niego uniezależnić. I oni właśnie, to znaczy wszystkie rodzaje istot, które odcięły się od źródła, oni próbują odessać z was, istot ludzkich, energię praźródła. Pozwalają wam jednak na nieświadomy z nim związek, na ładowanie się energią, ale tylko po to, żeby potem ją z was odessać. Pasożytują na was, ale wy nie zdajecie sobie z tego sprawy. Nie widzicie ich i nie czujecie. Gdybyście jednak odkryli wasz aktywny jeszcze związek z praźródłem i świadomie w nim trwali, nie mogliby was tak bez pardonu wykorzystywać. Ty odkryłeś ten związek i dlatego musisz zacząć pisać pamiętnik – aby dać w nim świadectwo prawdzie. I to jest twoje zadanie: odkryć na nowo prawdę. Prawdę, która na nowo musi rozpowszechnić świadomość, że jedyną metodą przetrwania was jako gatunku ludzkiego jest utrzymanie kontaktu z praźródłem.

– Mogłabyś wykładać na Sorbonie. Nieźle, jak na te twoje piętnaście lat – skomentowałem, mając jeszcze w pamięci wykład, który zrobiła mi już wcześniej, w szpitalu.

Klaudia się uśmiechnęła, jakby mój komplement sprawił jej dużą przyjemność.

– Dwadzieścia trzy, nie piętnaście – zaproponowała pół żartem Ataja. Ale Klaudia zignorowała jej prowokację i znowu dała mi do myślenia:

– Ja? Ja przecież jestem tylko aspektem twojej świadomości. To ty piszesz ten pamiętnik. To ty wkładasz mi te słowa w usta. To ty powołałeś mnie do życia.

– Ja ciebie powołałem do życia? O czym ty mówisz? I jaki pamiętnik?

– Slim – przemówiła do mnie prawie że matczynym głosem Ataja – to jest twoje zadanie. Niedługo zaczniesz pisać pamiętnik, aby w nim dać świadectwo prawdzie. Narodziłeś się po to, aby stać się szczęśliwym. I właśnie o tym, jak można stać się na tej planecie szczęśliwym, o tym będzie mówił twój pamiętnik. Trzeba jednak dodać, że słowo „szczęście” może być bardzo różnorodnie rozumiane.

– Czy wy nie macie za dużo wyobraźni?

– Wyobraźni? – powtórzyła z lekka pokpiwającym tonem Klaudia.
– To fakt, że wyobraźnia w tym wymiarze nie jest identyczna z procesem stawania się...

– Ale wszystko, co odkrywasz w swojej wyobraźni – przerwała jej Ataja – istnieje gdzieś naprawdę. Tylko że kiedy masz kontakt ze źródłem, przestajesz odkrywać na zewnątrz, bo jesteś obecny od środka. Jesteś obecny intensywniej. Jesteś „w”. Przecież znasz to uczucie.

Przytaknąłem nieśmiało. Bardzo dobrze je znałem, choć właściwie nigdy nie udało mi się go świadomie w sobie wywołać.

– No więc właśnie – kontynuowała Ataja – mógłbyś cały czas pozostać w tym „w”, ale masz jeszcze pewne zadanie do wykonania.

– Tylko jedno zadanie?

– Dokładnie – wtrąciła Klaudia.

– Aha... I potem... – zawahałem się przez chwilę – umrę? Po wykonaniu zadania?

Pałeczkę przejęła znowu Ataja:

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie. Ale pamiętaj: przyszłość jeszcze nie istnieje.

Westchnąłem. One traktowały mnie, jakbym już nie żył, jakbym już był gdzieś po drugiej stronie, po ich stronie. Ale ja jeszcze żyłem. Jeszcze dychałem. Umarłbym wprawdzie z rozkoszą. W każdej chwili. Ce n'est pas probleme. Zawsze czułem, że moja ojczyzna jest tam, w tej nieistniejącej przyszłości, a nie tutaj. Więc moja własna śmierć to byłby tylko powrót na łono. Pragnąłem zatem umrzeć. Nie tyle jednak dlatego, że byłem taki nieszczęśliwy, ile dlatego właśnie, że poznałem to ich „w”. I kiedy w nim czasem przebywałem, zanikała różnica pomiędzy moim biologicznym i duchowym „ja”. I byłem zawieszony. W próżni? W jakiejś kosmicznej wacie? W jakimś wewnętrznym przejściu, które zresztą – choć to paradoks – zdaje się być wyjściem na zewnątrz, na jakąś całkowicie otwartą przestrzeń, gdzie poczucie bycia wolnym graniczy ze stanem jakiejś nieopisanej rozkoszy, szczęścia, jakiegoś... wniebowzięcia? Nie wiem, jak to nazwać.

– Narodziłem się więc tylko po to, żeby... napisać jakiś pamiętnik?

– Slim – zaczęła znowu Ataja. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że ten wasz obecny świat jest wypaczeniem tego, co nazywacie Królestwem Bożym, i że jego dzisiejsze przykre

położenie zawdzięczacie faktowi, że egzystujący w innym wymiarze, samozwańczy władcy tego waszego obecnego świata... odsysają z was energię życiową, którą w każdej stającej się mikrosekundzie za darmo otrzymujecie z praźródła. Energia ta ma zupełnie niewyobrażalne dla was napięcie, ale jej natężenie, jej widoczna tkanka, równa jest niemal absolutnemu zeru. Gdybyś chciał sobie wyobrazić kabel, którym ta energia jest przesyłana, musiałbyś sobie wyobrazić niewiarygodnie cienką nitkę, tak cienką, że jej istnienia nie są w stanie wykryć najwydajniejsze nawet ziemskie mikroskopy elektronowe. Ten kabel, to połączenie jest jednak niezrywalne, dopóki jesteście jeszcze przy życiu. Ci, którzy was z tej przesyłanej wam energii okradają, posługują się niemniej bardzo wyrafinowanymi metodami i mają do dyspozycji specjalne „złodziejki”, a wam usiłują jednocześnie wmówić, że wszystkie tego rodzaju spekulacje na temat ich istnienia to jest zwyczajna bzdura i wymysł chorych umysłów. Bo gdyby tylko wyszło na jaw, że jesteście przez nich okradani, pozbylibyście się ich bez pardonu. Dlatego stoją oni na straży waszego prostackiego, pseudologicznego sposobu myślenia, abyście czasem nie wpadli na pomysł, że ponad wami istnieje jeszcze inna, wyższa inteligencja, i że macie możliwość bezpośredniego z nią kontaktu; i że to ona, wasza kosmiczna matka, zaopatruje was bez ustanku w potrzebną wam życiową energię; i że to ona, owo ponadprzestrzenne i ponadwymiarowe centrum energetyczne, stos atomowy tego wszechświata, jest samoistnym źródłem i stwórcą, bez którego nie istnieje żadne życie i żaden ruch, i żadne, ani organiczne, ani nieorganiczne formy materii. Ale ci, którzy was okradają i których Klaudia nazywa „czarnymi”, pochodzą z niskogatunkowych, pasożytniczych nanoprzestrzeni. Są to niskie, niematerialne wymiary, w których zadomowiły się niezliczone, zwyrodniałe formy energetycznych pasożytów. Wy, ludzie, jesteście dla nich organiczną tkanką energetyczną, czymś w rodzaju ruchomych słupów sieci wysokiego napięcia, z których odciągają oni przekazywaną wam z praźródła, tej nadkosmicznej elektrowni Najwyższego, energię. Energia ta jest wam posyłana, ponieważ Najwyższy postanowił uczynić człowieka

istotą doskonałą i nie zamierza od tego planu odstąpić. Chwilowo jednak ludzkość jest poddawana pewnego rodzaju próbie generalnej i przez to czarnym udało się przejściowo osiągnąć swój cel – udało im się wam wmówić, że nic poza wami nie istnieje, że nie ma żadnego świata nadprzyrodzonego, żadnych innych wymiarów, że jesteście najwyższą formą inteligencji w kosmosie, że nie ma w nim żadnych innych form życia, że świat kończy się i zaczyna tam, gdzie kończy się i zaczyna wasza tkanka mózgowa. Ale w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. W kosmosie i w innych, nieznanych wam „kosmosach”, egzystują inteligencje, o których nie potraficie sobie zrobić nawet najmniejszego wyobrażenia. Egzystują w nich także istoty ludzkie, którymi wy sami staniecie się w przyszłości. Stamtąd właśnie przychodzimy do ciebie. Ty jesteś zaś we współczesnym świecie jednym z głównych kanałów energetycznych, jednym z transformatorów dla tego boskiego napięcia, które następnie się z ciebie rozchodzi i przerzuca na innych, dając im częstokroć możliwość odczucia na własnej skórze mocy tej boskiej energii miłości. I teraz chodzi o to, żebyś ty, który na swojej własnej skórze od twoich najmłodszych lat odczuwasz obecność rzeczy i zjawisk, które, wedle opinii wielu zwykłych ludzi, ale też wielu autorytetów naukowych, nie mają prawa w waszym świecie istnieć, żebyś ty w swoim pamiętniku to opisał. Musisz dać świadectwo wielu „prawdom”, które mają fundamentalne znaczenie. Musisz innym przypomnieć, że śmierć to jest tylko takie przejście do tego czy innego wszechświata, gdzie wszystko zaczyna się od początku. I to jest twoje zadanie. Poświadczyć to w twoim pamiętniku. To i parę innych rzeczy. Ale to, co nastąpi potem, kiedy już wykonasz swoje zadanie, jest niewiadomą. Nie zapominaj, Slim, że nawet najbliższa przyszłość jeszcze nie istnieje.

Ostatnie słowa Atai – „przyszłość jeszcze nie istnieje” – pobrzmiwały mi jeszcze w uszach, kiedy usłyszeliśmy (a właściwie to one usłyszały na długo przedtem, zanim cokolwiek dało się słyszeć) dobiegający z zewnątrz jakby chrobot. Klaudia otworzyła drzwi i zawołała:

– Ataja! Szybko!

Ataja do niej podbiegła i po chwili obie były już na zewnątrz. Wyjrzałem i zobaczyłem pędzący w stronę mojego żebraczego domostwa ogromny buldożer. To, co zaś po chwili rozegrało się przed moimi oczami, przeszło wszelkie moje wyobrażenia. Najpierw Klaudia wypchnęła mnie z budki i kazała mi stanąć w dużej odległości od linii natarcia buldożera. Potem pociągnęła jedną ręką, bez większego wysiłku zresztą, zatknięty na metalowej sztandze, drogowy znak zakazu postoju, który stał w pobliżu i był dociążony przynajmniej pięćdziesięciokilogramowym obciążnikiem, podczas gdy Ataja pchała właśnie, stojąc sobie do tej pory spokojnie w pobliżu, kamienną ławkę, jakby to był jakiś kuchenny stolik. Kierowca buldożera nie reagował jednak na te podchody, wychodząc zapewne z założenia, że wszystko i wszystkich, co znajduje się w zasięgu jego trajektorii, jest w stanie bez wysiłku staranować. I to był jego błąd. Gdy podjeżdżał bowiem do ławki, która znajdowała się teraz w odległości około trzydziestu centymetrów od toru przemieszczania się jego lewej gąsienicy, Klaudia i Ataja położyły mu przed nią ukośnie jeden koniec sztangi, a drugi, ten z obciążnikiem, oparły jednocześnie o wysokie na jakieś czterdzieści centymetrów siedzenie ławki, co w efekcie spowodowało, że buldożer, najechawszy na sztangę, wykatapultował się dosłownie z toru swojej jazdy, a następnie, przechyliwszy się gwałtownie na prawą burtę, przewrócił się na bok i znieruchomiał. W czasie tego wyskoku zawadził jednak lekko o mój wóz Grzymały, co wystarczyło, żeby ten ostatni się wywrócił i żeby jego wschodnia ścianka, złamawszy się na pół, przypieczętowała jego smutny, ale równie nieodwołalny koniec. Plan kierowcy buldożera (jak się później okazało – przedstawiciela właściciela gruntu, który walczył z administracją ogródków działkowych o odzyskanie swojej działki budowlanej) przynajmniej częściowo się więc zrealizował – ja pozostałem wprawdzie cały i zdrowy, ale moje domostwo stało się bezużyteczną ruiną.

Gdy po chwili zdałem sobie sprawę, jak szybko i precyzyjnie została przez moje obrończynie zaplanowana i przeprowadzona ta kontrakcja, ogarnęło mnie lekkie przerażenie. Działywały bowiem we dwójkę skuteczniej, niż pięćdziesięciu super agentów najlepszego wywiadu razem wziętych. Ich intuicja była tak rozwinięta, że ich ruchy i działania wyprzedzały upływ czasu. Były aktywowane przez bodźce, dochodzące do nich z jakiejś zaprzyszłości, w której one zdawały się równolegle z czasem teraźniejszym przebywać. Sprawiało to wrażenie, jakby wiedziały, co za chwilę nastąpi, jakby reagowały szybciej niż myślały, bo myślały w odgraniczonej niewidocznej kotarą przyszłości, a reagowały w teraźniejszości.

Następnie sprawy potoczyły się szybko. Jeszcze tego samego dnia wieczorem przeprowadziłem się do hotelu, a po paru dniach do dwupokojowego mieszkania w Quartier Latin. Drugie piętro, ładny widok, centralne ogrzewanie, własne, wygodne łóżko, biurko z komputerem, regały na książki – w ciągu paru następnych tygodni zorganizowały mi moje opiekunki życie na nowo. Nie pytałem, z czego miały na to środki, z czego zapłaciły ekipę remontową, meble, czynsz, bo na pewno nie mogłyby mi odpowiedzieć, że z pracy własnych rąk. Takie powszednie sprawy załatwiały po cichu i traktowały je jako wydarzenia trzecioplanowe. A to, że jakiś nadziany jubiler nagle odkrywał, że w jego sejfie brakuje paru bransoletek, nie powodowało u nich żadnych pospolitych wyrzutów sumienia. Żyły bowiem tak czy siak na usługach innej, wyższej moralności, i to, co brały na swoje sumienie, to było ich poświęcenie dla sprawy.

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net